

# Psychofizyczna wizja świata

(Dokończenie ze strony 17)

o świecie poetka pisze bardzo troskliwe wiersz do swoje „córki w dziele tworzenia” – Kai Soleckiej, ale i podpowiada mężowi Januszowi pewne strategie artystyczne, by swoją sztuką plastyczną postarał się odkodować ową wieczność, którą dają doświadczenia myśli buddyjskiej w stosunku do świata.

Nie trudno zauważyć, że ta krótka analiza poezji Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej ukazuje ją jako refleksję głęboko filozoficzną. Jej doświadczenie egzystencjalne, refleksja intelektualna nad nim, stanowią formę przeciwstawienia się kulturze Zachodu obfitującej w wiele dualizmów: materii i duszy, ducha i przyrody, świadomości i ciała, które rodzą nieracjonalne podziały między ludźmi. Jest je bliski natomiast pewien monizm psychofizyczny, charakterystyczny dla myśli Wschodu inspirowanej taoizmem i buddyzmem, który odżył w drugim pozytywizmie europejskim E. Macha i R. Avenarius, a którego na gruncie myśli polskiej był znakomitym przedstawicielem myśliciel i artysta – Tadeusz Garbowski. Myśliciele ci zakładali, że u podłoża bytowego świat istnieją „czyste elementy” o charakterze psychicznym, które ludzie w procesie poznania zdwiają przez introspekcję na świat duchowy i materialny oraz ich pochodne. Krakowska poetka zdaje się podążać tą samą drogą monizmu psychofizycznego!

**prof. Ignacy S. Fiut**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska, *Puste obłoki*. Poświęcie: Kazimierz Świegocki. Projekt okładki i reprodukcje obrazów: Kaja Solecka. Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich, Biblioteka, t. 10, Kraków 2016, s. 112.

# Paranoja znieczulenia

*Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate* - Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy... Tu... wchodzicie... To jedno zdanie, fatalistyczne ostrzeżenie, mało kogo już dziś przejmuje. Piekło, czyściec czy choćby raj stały się krajinami z bajek dla niegrzecznych dzieci. Szkopuł w tym, że chyba już wszyscy obecnie staliśmy się właśnie niegrzeczni dziećmi jakże skutecznie znieczulonymi na innych.

Przekonuje nas o tym lektura manifestacyjnej wręcz książki **Michała Puchalaka** „Amsterdam Parano”. To istna bomba podłożona pod Twoją percepcję, Drogi Czytelniku. Lektura wstrząsająca, naruszająca poczucie dobrego smaku, lektura dla ludzi z ogromnymi

pokładami tolerancji dla wszelkiej maści obsceniczności, dla bagna ludzkiego odczłowieczenia i zezwierzęcenia zarazem, jakkolwiek nie obrażałbym tu zwierząt, gdyż te uwzględniają w swym postępowaniu pewien kodeks, nazwijmy to – naturalny, zgodny z duchem przyrody, czy odwiecznie ustanowionych praw gatunków. W książce Puchalaka, choć jeden z recenzentów podnosił już kwestię pozytywu samoświadomości głównego bohatera (z czym się ewidentnie nie zgadzam), mamy do czynienia z totalną degrengoladą ludzką na przykładzie dorastającego chłopca (a właściwie już mężczyzny, gdyż ma on 19 lat), który zagnieździwszy się w roku 1999 w Amsterdamie opisuje swoje nędzne życie wypenione całkowicie słynnym hasłem (z tytułu słynnej sztuki Erica Bogosiana) – seks, prochy i rock'n'roll...

U Puchalaka jednak, odmiennie niż u Bogosiana, nie mamy tak jaskrawej polaryzacji postaw. Sztuka Bogosiana to mikro (bardzo mikro) obscena przy bombie Puchalaka. Amerykański aktor, dramaturg i pisarz pochodzenia ormiańskiego w ironiczny sposób portretuje ludzi o różnym statusie społecznym i materialnym. Jego bohaterowie to jedynie żałośni frustraci, momentami odrażający, to znów budzący współczucie. Szukają własnego miejsca w brutalnej rzeczywistości, którą sami współtworzą. Czyniąc z pieniędzy, seksu, narkotyków współczesne fetysze, wpadają w sidła zastawione przez samych siebie. W pogoni za surrogatem tracą z oczu autentyczne wartości. Życie jest namiastką życia, a oni sami stają się karykaturami ludzi. To tylko drobna niedyspozycja wobec całego wachlarza perfidii mentalnej bohaterów z krwi i kości Puchalaka.

Puchalak portretuje nam ludzi, których znamy, albo co najmniej są nam bliscy. Istnieją jakby w otaczającej nas rzeczywistości i decydują się po prostu na ucieczkę z tego piekła za rogiem do piekła innego – do prawdziwej namiastki i złudzenia życiem wypełnionym: seksem, nieustającą imprezą, sprycowaniem się niezliczoną ilością substancji odurzających oraz traktującym drugiego człowieka, jak i kasę, pieniądze czy materię wszelaką wyłącznie instrumentalnie. Stawia znak równości pomiędzy duszą, a materią. Pisze językiem otwartym, sugestywnym, dosłownym, nie sztucznym, nie przerysowanym czy moralizującym. Pisze tak uczciwie, że już uczciwiej się nie da, a przez to ukazuje z całą mocą miłośność tej doraźności, tej komponowanej „na kolanie” teraźniejszości oraz banalności życia ludzkiego „z dnia na dzień”, wypełnionego błyskotką wolności totalnej, tego mega wyzwolenia z wszelkich barier, granic i ograniczeń, ze wszystkich zniewoleń i okowów, ze wszystkich skrupułów oraz dylematów. Po seks sięga się jak po ręcznik po schłapaniu wodą twarzy, po ciągłej, permanentnej trzydobowej imprezie podkręcanej wszelkimi dostępnymi środkami halucynogennymi. Śmierć frajerom. I niechaj ściele się ziele, a ty się baw i nie myśl o tym, co wydarzy się jutro. Czy to już jest ideał tej perwersyjnej odmiany interpretacji hasła – kochaj i rób co chcesz, czy to tylko deformacja tego hasła, jego poroniona karykatura?

Ten cudowny Amsterdam – symbol wolności totalnej, wyzwolenia wręcz z tych naszych judeochrześcijańskich bajek, z tej staro-

modnej miłości opartej na jakimś zobowiązaniu i dochowaniu wierności, z tej niczym niepopartej wiary w brednie o jakimś Jezusie, który najpewniej dziś, gdyby się zjawił rzekłby – make love, not war i dałby nam ziele z uśmiechem i radą – a róbta se wy, co chceta... ot tak...

Książka ta poraża. Poraża pustką. Poraża zgnilizną. Perfidią. Poraża samoświadomością zniewolenia bezmyślnością spowodowania człowieka do najprymitywniejszego instynktu – ćpać, bawić się, srać (wybaczcie tę wulgarność – jakże celową), jeść, folgować sobie sięganiem po jakże chętne i w jakiejś obfitości występujące dziewczyny, (kobiety!?), którym obojętne, kto je bierze, kiedy i gdzie. Nawet mało potem pamiętając. Z głębokim przestaniem, że nic w tym złego. Mamy przecież do czynienia z aktem wolności, dwóch mega wolnych jednostek, z których każda ma do wszystkiego prawo, sama i autonomicznie dysponującymi swymi ciałami i obdarzającymi nimi współplemieńców pod hasłem róbmy sobie dobrze – ciągle, do woli, stale i bez oglądania się na cokolwiek. Czy to raj? Który krąg? A może piekło? To totalna hipnoza rzeczywistości przewróconej na drugą stronę. Amsterdam – ruja i wolność. Człowiek na wyższym poziomie wtajemniczenia. Cudowna kraina z niewypowiedzianych marzeń wszelkiej maści lewaków (nie mylić z lewicowcami, których lubię i szanuję). Może nawet to, co chcieliby nam stworzyć ze zdebiłatej Unii postępowi komisarzy von Parlament de Europa. W miejsce tej ohydnej, konserwatywnej Polski, która ich tak wkurza...

A tak naprawdę? Co tu jest prawdą. Czy w takim świecie – opisanym perfekcyjnie – jest miejsce jeszcze na jakieś pojęcie prawdy? Czy choćby... zdrowego rozsądku – czy jest on komuś jeszcze potrzebny?

Puchalak obnaża granice naszej godności. Konfrontuje pojęcie przyjaźni z tym odhumanizowanym światem. Ukazuje ludzi ekstremalnych, otumanionych paranoją znieczulenia, żyjących w nieustannej ucieczce od świata i siebie samych. To jest i owszem karykatura, ale to karykatura przekroczenia wszelkich granic, karykatura karykatury, aby rzecz ująć totalnie. W takim świecie nie ma żadnych tabu. Nie ma żadnych hamulców. Nie ma żadnego sumienia. A jednak... nie do końca.

I tutaj docieramy do sedna tej Puchalakowej opowieści z nad krawędzi. Tutaj ukazuje się cała wyrafinowana subtelność tej obleśniej historii. Cała jaskrawość ostrzeżenia. Choć czy to jest ostrzeżenie? Czy raczej przestroga poprzez świadectwo?

Bohaterowie Puchalaka bowiem, w książce „Amsterdam Parano” mają wiele twarzy, wiele wymiarów. Od pustki po marzenia. A skoro pozostały w nich marzenia, być może jeszcze nie zesłali na całkowite dno? Ta samoświadomość niemożności uchwycenia wieczności, ta pustka sloganu, że nic nie jest wieczne, paradoksalnie z wiecznością ma bardzo wiele wspólnego. Potrzeba ekstremum świadcząca o ponadprzeciętnej tęsknocie za czymś... za Kimś... o Czymś... Bo przecież znaleźliśmy się w Matrixie tego parszywego świata, który degraduje nas do wymiaru komórki społecznej po manipulacji i w rydwanie wyścigu, kto z nas wydrapie się z tego bagna na brzeg śliski od